Nr. 21. Lwów, Czwartek 7. Sierpnia 1884. Rok VII.

GAZETA DLA WSZYSTKICH

Wychodzi na przemian: w jeden Czwartek: „Dziennik dla Wszystkich“ illustrowany, a „Gazeta dla Wszystkich“ w drugi Czwartek.

Prenumerata wynosi wraz z dodatkami i bezpłatnemi premiami na obydwa czasopisma:

we Lwowie:		na prowincji z przes. poczt.):	
rocznie	9 zł. — ct.	rocznie	10 zł. — ct.
półrocznie	4 „ 50 „	półrocznie	5 „ — „
kwartalnie	2 „ 25 „	kwartalnie	2 „ 55 „
miesięcznie	— „ 75 „	miesięcznie	— „ 85 „

Za odnoszenie do domu dopłaca się odnosicielowi 10 ct. miesięcznie.

W Poznańskim i Prusach 9 marek kwartalnie — we Francji i we wszystkich innych krajach oraz w Ameryce 6. fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Numer pojedynczy kosztuje 20 ct.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie, w kamienicy przech. ks. Sapiehów od frontu ul. Cichej l. 4. na dole, od ul. Ossolińskich l. 10. gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę z prowincji i z innych krajów przesełać należy przekazami poczt franco pod adresem: Do Administracji „Dziennika dla Wszystkich“ we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granice ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu, Hassenstein et Vogler Wallfischgasse. A Oppelik Stubenbastei, Rotteret Comp. I Riemergasse 13. Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarja Hassenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowewskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa W Frankfurcie n. M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski.**

Z ŻYCIA AKTORA.

NOWELA.

EDWARDA OURLIAC.

Tłomaczenie z francuskiego

przez

Br. N.

Ludzie, którzy się wznieśli talentem, miewali zawsze w młodości przygody zajmujące przez kontrast z późniejszem ich powodzeniem i zdolne w zupełności zachęcić młodziez, dążącą do tego samego celu i borykającą się z temiż samemi trudnościami. Pewien człowiek zasłużony, dziś już zapomniany, opowiedział przyjaciołom swoim przygody podobne z młodości własnej, które zadecydowały o jego losie i warte są powtórzenia. Szkoda tylko, że nie dostały się one do rąk zręczniejszego powieściopisarza, któryby na nich osnuł trzytomowe dzieło. My skreślimy tutaj proste opowiadanie, będące samo przez się dość romantycznem.

Otóż, będzie temu z jakie lat piętnaście, na początku lata trupa aktorów przybyła do małego miasteczka Langwedocji. Na prowincji zdarzenie to niezwykłej wagi. Mieszkańcy spieszyli oglądać wehikuły, które przywiozły niespodzianych gości, otaczali tłumnie oberżę, a miejscowa złota młodzież, zbierając się w kawiarni, o niczem więcej już nie mówiła.

Pierwsze przedstawienie udało się; publiczność przynajmniej była z trupy zadowolona. Dyrektor na początek wybrał kilka fars, które wprawiły w dobry humor wszystkich mieszkańców. Jeden z aktorów, żywy i wesoły chłopiec, stał się niebawem bożyszczem krzesłowej publiczności i wzorem miasteczkowych dandysów. Był to pierwszy komik; — nazywał się Collinet.

Jak zazwyczaj z początku, zbliżano się do artystów z uszanowaniem i ciekawością. Przypatrywano im się, gdy przechodzili, pokazywano ich sobie palcami, ubiegano się o ich znajomość, o wyświadczenie im przysługi, poczytano sobie za honor najlżejszą oznakę ich uwagi. Następnie jednak po kilku z nimi rozmowach, gdy zostali już stałymi gośćmi kawiarni, dobrze pijącymi, lecz źle płacącymi, jak zwyczajni śmiertelnicy, nie zwracano już na nich uwagi, poczęto ich lekceważyć o tyle, o ile ich początkowo przeceniano.

Collinet, nie mając żadnego zajęcia, chodził z towarzyszami swymi do *„Korony“*, najbardziej uczęszczanej kawiarni, gdzie wszyscy szczególniej jemu byli radzi. Roli jego uczono na pamięć; małpowano jego koncepty, a gdy się ukazał, nazwisko jego brzmiało z każdego kąta sali. Śmiano się na sam widok jego; zdawało się, że wszedł Kacperek z farsy. Złożył ukłon, śmiano się; usiadł, śmiano się; otworzył usta, śmiano się jeszcze bardziej, tak dalece, że, chociaż był rozsądny, głupie uwielbianie pochlebiało mu czasami. Wydzierano go sobie, brał udział we wszystkich biesiadach, zapraszano go, aby się ubawić jego facecjami.

Nędzne ubranie, świat, wśród którego żył, nędzny rodzaj profesji, do której nie był stworzony, upokorzyły w końcu Collinet'a. Czuł się pod pewnymi względami niższym od tych młodych ludzi, elegancko ubranych, a tak zawsze uprzejmych, uważał sobie za obowiązek rozrywać ich przynajmniej. Panowie ci nie byli wymagający; zbywał ich błazeństwami, które sam uważał za naciągane i trywialne.

Zaproponowano mu grę, grywał więc i przegrywał, a ponieważ nie miał pieniędzy, musiał pozwolić, by płacono za niego. W ten sposób stał się zależnym od tego towarzystwa. Wesołość jego powoli zamieniała się w pochlebstwa. Dowcipkował, bo był biedny, a ci młodzi ludzie bogatymi, bo nie jadł wieczerzy, a oni ją jedli, bo był smutnym, zgłodniałym, pasożytem, niedyskretnym; dowcipkował, ażeby mu nie wyrządzono zniewagi, i żeby go znoszono w tem gminnem towarzystwie; jego, który posiadał talent i rozum; dowcipkował dla śniadania, dla szklanki piwa, dla kawałka chleba. Nie chcemy robić bohatera z tego biednego chłopca i przedstawiamy przebieg rzeczy takim, jakim był rzeczywiście. Został wkońcu błaznem miejscowym, i to stało się przyczyną jego dalszych cierpień. Nieszczęśliwy, zaledwie odgadywał, jaką wstrętną grał rolę.

Z początku wszystko szło dobrze; słuchano, podziwiano, śmiano się do rozpuku. W istocie, gdy Collinet wpadł w zapał, gdy rozgrzał się przy kieliszku i pozwolił unieść wrodzonemu sprytowi, następował wybuch dowcipów i subtelnych żartów, które zachwycały słuchaczów, jakkolwiek najlepsze z nich pozostawały dla audytorjum niezrozumiałymi. Lecz niebawem panowie ci zapragnęli naśladować go. Collinet zachęcił ich do współzawodnictwa. Chcieli być, jak on, dowcipni, lecz przy braku sprytu, stali się brutalami. Uosabiali sobą niejako usiłowania niedźwiedzia, chcącego obdarzać delikatnemi pieszczotami: drapali, zamiast głaskać, przebijali, zamiast kłuć, i przez instynktowną nienawiść dla wszelkiej wyższości, jak się to często zdarza u podobnych ludzi, Collinet, sam Collinet, Collinet, taki zachwycający i miły, stał się dla wszystkich celem pocisków.

Nie odczuwali, jak mało na to zasługiwał, i że, gdyby chciał, nie podołaliby mu. W braku lekkiego szyderstwa, którem tak zręcznie władał, chwycili się brutalnej obelgi. Rzucili się na nędzę jego, która zawsze jest pożądanym łupem dla niskich umysłów. Wyszydzano go, bo był źle ubrany, źle płatny, źle karmiony. Wyszydzano twarz jego i rzemiosło. Odmawiano mu nawet talentu, i często, gdy żartował łagodnie, rzucano mu odpowiedź płaską i złośliwą, która mu zamykała usta. Dotykał ręką, odpowiadano mu uderzeniem łapy. Nic tak nie zakłóca spokoju — subtelnego umysłu, jak zetknięcie się z tępą, bezgraniczną głupotą; Collinet używał wszystkich zasobów swej zręczności, aby nie dać nic poznać po sobie. W takiem towarzystwie najlepiej znosić wszystko; niemniej jednak bolało go to. — Udawał, że nie słyszy, lub dowcipkował dalej ze sztuczną wesołością, usiłując łagodzić ich brutalność. Byli tam i tacy, którzy go

źle rozumieli, przesadzali znaczenie słów, zbyt wyszukanych, jak dla nich, i na niewinne drwiny, odpowiadali mu tak, że płonął ze wstydu.

Stanąwszy raz na tej drodze, humor tych panów stał się nieokrzesanym do niemożliwości. Wielka ich poufałość graniczyła z pogardą. Nie oszczędzano już wcale Collinet'a. Stał się błaznem, trefnisiem, popychadlem, pozwalano sobie z nim na wszystko. Głupcy są pod tym względem, jak źle wychowane dzieci; gdy raz się z nimi pośmiejesz, przywłaszczają sobie prawo bezustannego naprzykrzania się i dokuczania ci. Przybycie swe oznajmiono aktorowi potężnym kułakiem w plecy, gnieciono mu kapelusz pod pozorem, że był stary, obrywano guziki od surduta, zapalając się niby w mowie, ucinano kieszenie nożyczkami, nie troszcząc się o wyrządzane mu szkody. Ubranie jego i bez tego było dosyć ubogie i wyszarzane. Wrzucano mu do kawy pieprz, lub chowano przedmiot jakiś, który mu był potrzebny, jednem słowem, wyrządzano mu tysiące psot złośliwych i gminnych, mogących powstać jedynie w szynkowníanych mózgownicach. Co więcej, gdy Collinet'owi zdarzył się jaki wypadek, gdy musiał płacić karę swemu dyrektorowi, lub skaleczył się, wyprawiając różne figle, — ci nędznicy śmiali się do rozpuku, klaskali w ręce, i to im największą sprawiało uciechę. Jeżeli pokazał się w podartem ubraniu, najpierw żartowano z niego; próbował odwrócić rozmowę, powracano do owej dziury w spodniach, czy w surducie, nakoniec ciągniono go za poły, krzyczano o tem głośno, odkrywano wobec wszystkich — jego nędzę, a przecież była tam kobieta — za bufetem!

Skoro rzeczy przybrały taki obrót, Collinet nie mógł się już gniewać. Okryłby się tylko śmiesznością, i nicby mu to nie pomogło. Usiłował więc śmiać się, aby rozbroić swych prześladowców, lecz nie trudno domyśleć się, co cierpiał.

Było tam pomiędzy innymi — kilka młodych ludzi, których uważano powszechnie za wielce rozsądnych, i którzy sądzili, że mają prawo być bardziej gburowatymi, niż inni, pod pozorem, że są dowcipniejsi. Patrzyli oni na Collinet'a niechętnem okiem, nie wiedząc właściwie, dlaczego. Figle jego nie ujmowały ich. Ten umysł dziwny i błyskotliwy raził ich; nieufność ich przeceniała znaczenie słów jego. Dla nich był to aktor, komedjant, pajac. Wiadomo, co to znaczy na prowincji, są to ludzie, którzy pożyczają, objadują i urządzają tysiące brudnych sztuczek. Collinet z gadulstwem swojem nie mógł być innym; nie zadawali sobie też żadnego przymusu, i przy lada sposobności dawali mu poznać, co o nim myślą. Jedno słowo byłoby dostatecznem dla drażliwości młodego aktora, lecz oni posunęli się do tego stopnia, że kilka razy otwarcie wyrazili wątpliwość, co do jego uczciwości i honoru. Collinet nie zdołał wytrzymać tych ostatnich ciosów. Czuł się bezbronnym i bezsilnym wobec podobnych napadów. Obowiązki tylko wstrzymywały go od wybuchu; udawał, że nie słyszy, lecz postanowił zerwać te znajomości i nie pokazywać się więcej pod „*Koroną*".

Collinet nie bywał u swoich kolegów, którzy wszyscy prawie mieli żony i dzieci. Działo się to w lipcu. Dnie były długie i upalne; pozostał więc nadal osamotniony, rzucony na pastwę nudzie miasta prowincjonalnego, gdy na domiar nieszczęścia, zakochał się szalenie.

Chodził zazwyczaj za miasto pod wał, gdzie czytał, aby zabić wlokące się godziny. Zwykłem jego miejscem było urwisko, porosłe trawą, gdzie spoczywał w cieniu. Urwisko to znajdowało się wprost ogrodu, którego krata wkopana była w wał, jak to się często spotyka przy niewinnych fortyfikacjach prowincjonalnych. Krata wznosiła się ponad tarasem, tak, że można się było o nią oprzeć. Za kratą zaś ciągnęła się łączka, wiodąca aż do ganku przed domem. W rogu stał pawilon otwarty za balustradą, wychodzącą na podmurowanie kraty.

Collinet zaledwie zauważył to wszystko. Pewnego dnia, czytając znów na tem samem miejscu, podniósł oczy i ujrzał młode dziewcze na tarasie, zajęte haftowaniem. Patrzyła na niego z ciekawością, jak się patrzy na każdego obcego w małem miasteczku. On przyglądał jej się bez zuchwalstwa; ubrany był skromnie, lecz z większym gustem i dystynkcją, aniżeli młodzi ludzie z miasteczka. Nazajutrz powrócił i zastał pannę na tarasie. I powtórzyło się to przez kilka dni z rzędu. Krata, kwiaty, jedna i ta sama godzina, piękne włosy młodego dziewczęcia, balkon, na którym siedziała, te pierwsze spojrzenia, pełne tego wszystkiego, co się w nich wyczytać pragnie, — wystarczały aż nadto do wywołania w umyśle takiego chłopca, jak Collinet, wzburzenie, które początkowo jest tylko grą imaginacji, lecz może stać się gwałtowną miłością. Młode dziewcze zajęło się nim, — było to wiele; ten młody człowiek, zawsze sam, zawsze zatopiony w czytaniu, intrygował ją; oboje przeczuwali w sobie wzajemne dusze, szlachetniejsze nad te, które ich otaczały, upiększali się wzajemnie we własnej wyobraźni, a może też odgadli się.

Jednego dnia z okazji książki, która spadła z balkonu, przemówili do siebie. Collinet podniósł ją i podał z wdziękiem. Dziewcze bąknęło kilka słów podziękowania. Książka upadła otwarta. Aktor obtarł z kurzu stronicę i zrobił uwagę nad zawalanym ustępem, a te kilka słów zdradziły, że posiada pewne wykształcenie, i autor nie jest mu obcym. Panna, zapłonąwszy, uśmiechnęła się. Lecz nieśmiałość powstrzymała ich, nie posunęli się dalej. Przypadek ten podwoił ciekawość z jednej i z drugiej strony. Kim mógł być ten młody człowiek, tak dobrze wychowany, taki grzeczny, taki uprzejmy? Collinet palił się cały. Gdy teraz przechodził, młode dziewcze uśmiechało się, spuszczając oczy; nie wątpił już, że myślała o nim przychylnie, lecz co począć? W jaki sposób widywać ją, zbliżyć się do niej? kogo wypytać, choćby o jej nazwisko? i jak się do tego wziąść, żeby się nie zdradzić, nie skompromitować jej, nie stać się pośmiewiskiem miasta? Z drugiej strony do czegoż go to mogło doprowadzić, jego, biednego aktora, pogardzonego, zniesławionego, odepchniętego od każdej uczciwej rodziny? Teraz dopiero ujrzał wszystkie nędze swego powołania. Lecz w końcu miłość wzięła górę; nie rozumował już, chciał widzieć ją, dowiedzieć się wszystkiego, lecieć na oślep.

Nadeszła wielka uroczystość, dzień zabawy publicznej; miasto od rana przystroiło się w powiewające chorągwie. Na kanale miały się odbyć wyścigi łodzi. Mieszkańcy dążyli tłumnie na oznaczone miejsce. Każda rodzina szła oddzielnie w swem gronie, powiększonem przez znajomych i przyjaciół; wszyscy się znali, wołali na siebie i zamieniali ukłony, przechodząc; Collinet tylko wśród ogólnej uciechy szedł smutny, sam jeden, z wyszarzanym swoim surducie. Młodzi ludzie, których znał, towarzyszyli wystrojonym pannom. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Jakkolwiek nie zależało mu na tych rozrywkach, i oceniał według wartości te krzyki, te odświętne stroje i tę małomiasteczkową uciechę, — kontrast był zbyt silny. On w tym tłumie nie posiadał nikogo, ani przyjaciela, ani krewnego. Pomyślał o swej nędzy, swojej niedoli, swej samotności wśród obcego miasta, i serce ścisnęło sie mu boleśnie. Lecz to nie było najgorsze. W namiocie, ustawionym na łodzi, znajdowały sie miejsca honorowe dla znaczniejszych rodzin miasteczka. Przysuwa sie, jak może, najbliżej, przygląda bacznie tym szeregom wystrojonych kobiet, i znajduje nareszcie tę, której szukał. Chce wiedzieć, kto jej towarzyszy: starzec jakiś, kilka kobiet i młody człowiek, mówiący głośno, krzykliwy, — poznał go. Był to Pelletier, jeden ze stałych gości „Korony". Oczywiście niebo sprzyjało mu, Pelletier mógł mu wszystko wyjaśnić. Ukrył się lepiej w tłumie i rozglądał uważnie dokoła. A więc ten Pelletier, jeden z najniesmaczniejszych towarzyszów z „Korony", ten służalec, urwis szynkowniany, miał prawo zbliżyć się do tej rozkosznej istoty, gdy on, Collinet, wiedząc, co tamten jest wart, musiał się trzymać zdala wraz z motłochem. Konał w swym kącie ze wstydu i zazdrości, zniknął przed końcem zabawy i pobiegł stanąć na drodze.

Nie omylił się; gdy zapasy na wodzie skończyły się, a tłum rozproszył, młodzież powracała, rozmawiając o uroczystości. Collinet nie chciał sie z nimi spotkać, przydybał Pelletier'a, który powracał sam, i uchwycił go za ramie.

— A! Collinet! dzień dobry, Collinet! dokąd idziesz? co robisz? zkąd idziesz?

Pelletier zaczał wyskakiwać w około niego, kłaniał mu się do ziemi, ciągnął za poły od surduta i brał w obie ręce głowę jego, całując teatralnie w czoło. Collinet znosił te swywole bez szemrania, niecierpliwy, pochłonięty przez jedną myśl tylko, i rzucał od czasu do czasu słówko o uroczystości. Lecz tamten przerywał mu natychmiast mowę, rozpoczynał na nowo swoje skoki, całował Collinet'a, pokazywał na niego palcem i krzyczał na całe gardło, aż w końcu

Collinet zaczął udawać, że się śmieje wraz z nim.

— Zdawało mi się, żeś pan był w dobrem towarzystwie?...

— Wyśmienitem. Najładniejsze dziewczęta w mieście.

— Pan je znasz?

Pelletier nie odpowiedział i wołał swych towarzyszów. Ciągnął ze sobą Collinet'a, Collinet opierał się; wziął go w pół i niósł, krzycząc ciągle i zaczepiając przechodniów na ulicy. Collinet usiłował śmiać się do rozpuku przez wzgląd na tych, którzy się nań patrzyli, przymilając się, ustępując, cierpiąc, w nadziei usłyszenia jednego słowa, jednego nazwiska, jednego objaśnienia, lecz Pelletier dręczył go coraz bardziej. Scena ta trwała dziesięć śmiertelnych minut. Nakoniec Collinet zdołał uspokoić swego kata, i naprowadzając go zręcznie:

— Nie znałem tej twarzy, — rzekł.

— Której?

— Najładniejszej.

— Klementyny?

— Co stała obok pana?

— Właśnie.

— Jak się nazywa?

— Soreł.

— Ten starzec — to jej ojciec?

— A tak.

— Jest notarjuszem?

— Ale nie.

W jednej chwili Collinet wiedział wszystko. Pan Sorel był urzędnikiem; byli to poczciwi ludzie, prowadzący życie ciche, spokojne, mający jedną tylko córkę, którą ubóstwiali i wychowywali, jak mogli, najstaranniej. Klementyna była łagodna, uprzejma, nieco dumna, bez wielkiego majątku, a zatem nie posiadająca wiele konkurentów. Collinet wśród wybuchów śmiechu zapytał się, czy chodzą do teatru, odpowiedziano mu, że nie. Był to jeden z tych dawnych domów bogobojnych, w których o teatrze nie myślano. Odetchnął. Pelletier zaczął go znów ciągnąć w najlepsze; chciał go koniecznie pokazać w „Koronie“ i nie szczędził mu wymysłów. Collinet zdołał się oprzeć; przyrzekł tylko, że powróci do „Korony“ niezadługo. W istocie zaś usychał z chęci dowiedzenia się czegoś więcej.

Pelletier, wszedłszy do kawiarni, oznajmił na wstępie, że spotkał Collinet'a. Wieść tę przyjęto jednym okrzykiem: — Gdzie jest? co się z nim dzieje? już go nie widziano trzy miesiące. Zesmutniał. — Pracuje. — Zdarł ostatnią parę butów.

Jeden z palących wstał i rzekł:

— Kocha się.

Wybuch śmiechu rozległ się dokoła.

— W kim? kocha się? Collinet?

— Co wieczór chodzi na wał pod kratę Sorelów. Pani Baudry wie o tem. Służąca mojej ciotki widziała go tam — od strony ulicy — pod oknami Klementyny, — dopóki jest światło.

W jednej chwili dwadzieścia plotek konstatowało ten fakt. Widziano go, jak mówił ze służącą. Wypytywał się sąsiadów.

— Kocha się w Klementynie! — rzecz dowiedziona.

— Do licha, — rzekł Pelletier, — bodaj, że macie rację. Tyle mi o niej mówił. Już się nie dziwię. Zaczepił mnie tylko po to. Kocha się w Klementynie, — ten kiep! — ten bułtaj! — Nie pokazywał się, — spacerował na wale — drwił z nas, niechno tylko przyjdzie.

W kilka dni później Collinet przyszedł na swoje nieszczęście. Jakby się byli zmówili, podnosi się wrzawa, otaczają go i poczynają szturkać. — Jest Collinet, jest Collinet, Collinet, hola! — Ciągną go, szarpią na wszystkie strony, nakoniec kilku najhałaśliwszych bierze go w górę, obnosi w tryumfie po sali i pada z nim razem na ziemię. Collinet mężnie przetrzymał burzę, miłość wspierała go, słodka tajemnica przepełniała mu serce, mógł się uśmiechać, dopóki jej nie tykano.

Gdy wrzawa ucichła, zaproszono go do picia; pił i na chwilę odzyskał swój humor. Drwiono z niego, odpowiadał w tym samym tonie. Dał radę wszystkim, każdemu się coś dostało, zachwycano się nim. Zapytano go, dlaczego tak dawno nie przychodził, co robił; odpowiedział setkami zręcznych wykrętów, lecz w końcu przyparto go do muru. Dręczyciele umawiali się, jak złodzieje na jarmarku: — Czy nam też powie, dlaczego zapomniał o nas, — dlaczego się przestał śmiać, — powie, — nie powie, — do licha, pracował, miał długi.

— E, nie, — zaczynano znów, — nie powinien powiedzieć, — masz rację, Collinet, — każdy niech pilnuje swoich interesów. — Kochasz się, to dobrze, — co komu do tego? — to nie zabronione. — Nikt nie ma się prawa wtrącać.

Colinet poczerwieniał, i twarz jego wykrzywiła się bolesnym uśmiechem.

— Ba! — ciągniono dalej, — czy on się kocha? Dlaczegóżby nie? — Nie odważyłby się. Dlatego, że jest brzydki? — czy dlatego, że ma dziurawe pończochy? — co to szkodzi? — Czy wy drwicie? — Ależ w kim się kocha? — Klementyna Sorel! — bagatela! — Doprawdy? — tam do kata! — Czego się wstydzisz? — Kto? ja! — rzekł Collinet. — Możesz się przyznać, — nikt ci tego nie ma za złe. — Przyzna się. — Założę się, że nie! — Przyznam się, jeżeli chcecie, że jestem zakochany po uszy w mojej gospodyni, która ma sześćdziesiąt lat. Znam ją przynajmniej, a waszej panny Klementyny nigdy nie widziałem. — Hola, mój przyjacielu, — krzyknął Pelletier, — mów to komu innemu, zanadto się jej przyglądałeś podczas zabawy na wodzie i porządnie mnie wyciągałeś na słówka o niej!

(C. d. n.)

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo: Stanisław Wuffka. Z drukarni K. Pillera.